NUMBER 18. DNIA 3-go MAJA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Święto drzew.

I.

Sadźmy drzewka małoletnie,
Niech na duże rosną —
Niech je żywią rosą kwietnie,
Maje mają wiosną.

Sadźmy, sadźmy po jednemu,
Bo miejsca niemało —
By potem jedno drugiemu
Nie zastępowało.

Sadźmy rzędem, jak te linje,
Od kraja do kraja —
Niech się po całej równinie
Zieloność rozgaja.

A choć je śnieg poprzygniata
J zaspy zasują,
Przyjdą na nie bujne lata,
Co się wyprostują.

II.

Bierz każdy swoje drzewko:
Sadź, uważnie sadź,
Pomagaj sobie śpiewką
J sposobem radź.

A sposób, to nie cuda:
Wiatr się nie uczył siać —
A śpiewka, jak się uda,
Co ją i warto znać.

Bierz każdy swoje drzewko:
Sadź, uważnie sadź,
Pomagaj sobie śpiewką
J sposobem radź.

III.

A czyjąż to będzie dumą,
dumą radośną,
Jak te drzewka małolistne
w drzewa urosną?

Jak się potem zajmą w górę
i jak zaczną róść —
J, jak szczyty, poczną chmurę
wierzchołkami bóść?

Będą ci się dowiadować,
niby o cudzie,
Będą koło nich idący
przystawać ludzie:

„Kto je tu siał, kto je rzędem
równiutko sadził?
Kto tu za ich małolecia
koło nich radził?“

Władysław Orkan.

WALERJA MARRENÉ MORZKOWSKA.

GENERAŁ MALLETSKI

(ZE WSPOMNIEŃ RODZINNYCH). (4)

Uczestniczył wówczas w bitwie pod Raszynem, był przy wzięciu Sandomierza i musiał się odznaczyć, bo otrzymał krzyż polski „Virtuti militari" i mianowany został podpułkownikiem, a w roku następnym pułkownikiem.

W roku 1811, zapewne z powodu przewidywanej wojny, powierzono mu fortyfikacje Modlina, a z listów, jakie wówczas otrzymywał, widać, jak postawienie tej twierdzy w stanie obronnym uważane było za rzecz pilną i ważną. Cesarz Napoleon sam dawał w tej mierze rozporządzenia, przeglądał i zatwierdzał plany, jak świadczy rozkaz, wyszły z jego prywatnego biura, z dnia 12. października 1811 roku. Nie żałowano też na ten cel pieniędzy, przesyłają je ojcu z żądaniem, by zebrał jak najspieszniej tłumy robotników, tysiące murarzy, stawiał na gwałt cegielnie, ażeby ukończyć roboty w czasie właściwym. Pisze to z Drezna osoba, której podpis jest nieczytelny, jak często bywają podpisy urzędowe, i dodaje w końcu pochlebny frazes: „dla każdego innego byłoby to rzeczą niepodobną, ale on, pułkownik Mallet, okazał już tyle razy tak niezmordowaną gorliwość, iż niepodobieństwo dla niego nie istnieje i niezawodnie uczyni teraz to, czego nie potrafiłby uczynić nikt inny."

W roku 1812 ojciec był w Paryżu; świadczy o tem paszport, wydany dnia 9. marca przez hrabiego d'Einsiedel, ambasadora saskiego przy cesarzu Napoleonie. W tymże roku generał Chasseloup zapytuje go poufnie w maju, listem, datowanym z Poznania, o stan szczegółowy fortyfikacji Modlina i Pragi.

Do tej pory jednak stanowisko ojca w wojsku polskiem było tymczasowem, nie przestał bowiem należeć do armji francuskiej. Dopiero w tym czasie zapewne, z powodu propozycji, czynionych mu przez króla saskiego, prosił cesarza Napoleona o pozwolenie przejścia do Księstwa Warszawskiego Może w tej sprawie jeździł do Paryża.

Żądane pozwolenie otrzymał w czerwcu roku 1812 z nadmienieniem, iż zostało ono udzielone ku wielkiemu zadowoleniu króla saskiego, który cieszył się, iż pozyskał na stałe tak znakomitego oficera, i natychmiast kazał wypłacić ze skarbu koszta odpowiedniego patentu, wynoszące tysiąc franków.

Tegoż roku ojciec odbył ciężką kampanję rosyjską, był w bitwach pod Smoleńskiem, pod Borodinem i w przeprawie przez Berezynę. Musiał się w tej kampanji odznaczyć, bo dostał naprzód krzyż Legji honorowej, a następnie krzyż oficerski tejże Legji.

Potem odbył znowu kampanię w 1813 roku, a pod Lipskiem wzięto go w niewolę, ale uwolniono zaraz na osobny rozkaz ces. Aleksandra.

Wraz z ojcem wysłani byli do Księstwa Warszawskiego z armji francuskiej, jako instruktorowie, oficerowie Pelletier i Bontemps. Z ostatnim zwłaszcza był on w serdecznej przyjaźni. Bontemps dosłużył się także w wojsku polskiem stopnia generała i ożenił się z Polką. Nazwisko jego w domu było często wspominane przy każdej sposobności. Znali go dobrze moja matka, babka, wujowie, i widocznie lubili bardzo.

Słyszałam sama, jak ojciec opowiadał, że on i Bontemps, dopóki nie mieli własnej rodziny, mieszkali razem, o ile nie rozdzielały ich obowiązki służbowe i mieli wspólną kasę, do której każdy z nich składał swoją pensję i czerpał też bez rachunku wedle potrzeby, lub fantazji, nigdy nie kontrolując jeden drugiego. I, jak ojciec zapewniał, nigdy nie było między nimi z tego powodu najmniejszej sprzeczki.

Stanowi to bardzo rzadki przykład przyjaźni i bezinteresowności.

O trzecim towarzyszu broni, Pelletier, który także z biegiem czasu został generałem, słysza-

łam to tylko, że razem przybyli do Polski. Prawdopodobnie konsystował on w innej miejscowości i, o ile wiem, nie zostawił tutaj rodziny. Znalazłam jednak ślad o nim w papierach ojcowskich; jest nim polecenie Staszyca z r. 1813, ażeby, na przedstawienie mego ojca, utrzymać nadal w korpusie kadetów, w Kaliszu, Emanuela Gentils, pasierba generała Pelletier, zwolnić go w przyszłości od opłaty i czekać z dotychczasową należnością powrotu ojczyma. Zapewne więc, wyjeżdżając, Pelletier zostawił pasierba pod opieką towarzysza broni. (D. n.)

BRIEUX.

Pierścień Nr. 3328.

— Mój panie — mówił do mnie generał, opowiadając panu to zdarzenie i prosząc o nadanie mu jak największego rozgłosu, spełniam tylko wolę człowieka zmarłego.

*

Przed dziesięciu laty wszedł do mego mieszkania jakiś człowiek, który nie chciał podać swego nazwiska. Początkowo nie chciałem wpuścić do siebie tajemniczego gościa, ale prośba jego była tak natarczywa, że ostatecznie musiałem ustąpić.

Nieznajomy usiadł i odrazu wręczył mi pięć tysięcy franków ze słowami:

— Generale, nieprawdaż, zdarza się czasem, że młodzi oficerowie, przez karty lub kobiety, wpadają w długi, które całą ich przyszłość nieraz zaciemniają. Czy nie tak?

— Tak jest.

— Zdarza się także, wprawdzie nie tak często, że niejeden w chwili szału do tego stopnia się zapomni, iż w kasie pułkowej, lub u kolegi, zapożyczy się w sposób niedozwolony, a potem nie ma skąd oddać?

— I taki fakt zdarzyć się może... tylko ja nie rozumiem...

— Generale, byłoby mojem życzeniem, abyś tych pięć tysięcy franków użył na pomoc twoim podwładnym, którzy się w takim znajdą kłopocie. Ja sam chcę zostać nieznanym.

Odpowiedziałem oryginalnemu gościowi, że tego rodzaju misji podjąć się nie mogę i nie bez trudu zmusiłem go do odebrania pieniędzy.

Na drugi dzień otrzymałem pocztą owych pięć tysięcy franków z następującym listem:

„Generale! Musisz przyjąć pieniądze i zrobić z nich wiadomy użytek. Idę za głosem sumienia, aby, o ile możności, naprawić występek, który niegdyś popełniłem. Corocznie poszlę panu taką samą sumę. *Nieszczęśliwy.*“

I nic więcej. Znalazłem się w niemałym kłopocie, ale ostatecznie, za radą moich przyjaciół przyjąłem na siebie ten obowiązek i dzięki tej oryginalnej szczodrobliwości, uratowałem przyszłość dwu oficerów.

Corocznie przez lat ośm otrzymywałem w dniu oznaczonym anonimową przesyłkę. Zawiadomiłem moich kolegów, że mogą czerpać z tej kasy w razie, gdy w ich pułku lub dywizji zdarzy się jaki tego rodzaju wypadek; reszta zaś pieniędzy szła do oficerskiej kasy sierocej.

Przed rokiem otrzymałem następujący list od „Nieszczęśliwego“:

„Generale! Zanim umrę, chciałbym Cię widzieć. Przyjdź!“

Teraz podane było całe nazwisko i adres.

Udałem się do oznaczonego w adresie domu i znalazłem tam w nędznym pokoiku umierającego człowieka, w którym z trudnością tylko poznałem dawnego znajomego.

— Umieram, generale — mówił. — Kazałem notarjuszowi zrobić testament, w którym cały mój majątek, dwieście tysięcy franków, zapisuję panu, abyś z nim zrobił, co uznasz za stosowne dla zmycia ciążącej na mnie plamy i winy, której przez całe życie nie zdołałem odpokutować. Chcę się obecnie przed panem wyspowiadać.

Starzec poprawił się na poduszce, zażył lekarstwo i zaczął:

*

— Posiadałem niegdyś przy „Rue de la Paix“ w Paryżu handel jubilerski i byłem zupełnie szczęśliwy. Miałem dobrą i kochaną żonę; handel szedł dobrze, pracowałem z ochotą. Jedna tylko rzecz zaciemniała mi horyzont szczęścia, a to mianowicie kradzieże, których bardzo często padaliśmy ofiarą. Bezpośrednio przed wypadkami, które złamały moje życie i sprowadziły śmierć żony, zajechała przed nasz sklep jakaś dystyngowana dama, w eleganckim powozie, z lokajem. Sprytna złodziejka ukradła mi naszyjnik pereł wartości dwadzieścia tysięcy franków. Dzień przedtem jakiś pan kupił szpilkę za dwadzieścia franków, a gdy się oddalił, spostrzegliśmy brak starożytnego złotego zegarka wartości przynajmniej dwudziestu luidorów. W ten sposób utraciliśmy zysk całego roku.

Żona i ja znajdowaliśmy się w największej rozpaczy, która jedynie wytłumaczyć może wszystko, co się potem stało. Było to zimą, około godziny piątej wieczorem. Na dworze było jeszcze widno. Wszystkie szczegóły przypominam sobie tak, jakby się to wczoraj stało. Żona czyściła stare złoto, subjekt pisał coś w księgach, a ja sam czytałem w „Temps“ kursa giełdowe, gdyż właśnie wtenczas grałem na rentę zagraniczną... ale to nie należy do rzeczy...

Młody człowiek, w uniformie wychowanka szkoły kadeckiej, wszedł do sklepu... Ach nieszczęsny, nieszczęsny, dlaczego los go sprowadził do nas i to właśnie w tym dniu... Jego i nasza zła gwiazda przyprowadziła go widocznie, panie generale, gdyż...

Starzec zatrzymał się chwilę. Ciężkie łzy spłynęły mu po policzkach na białą brodę. Byłem naprawdę wzruszony.

— Przyszedł więc... — ciągnął starzec niepewnym głosem — a był to taki piękny, młody człowiek... jeszcze dziśbym go poznał... tak, jakbym go widział przed sobą... Czy on mi przebaczył — czy on nam przebaczył?... od kogo i kiedy dowiem się o tem?... chyba po mojej śmierci... a w takim razie... niebawem...

Pomyślałem sobie: „Dzięki Bogu, jest klient, a nie żaden złodziej!... Muszę panu powiedzieć, generale, że gdym się w pierwszym roku małżeństwa spodziewał syna (którego mi niebo odmówiło), to zawsze marzyłem, że wstąpi on kiedyś do szkoły wojskowej... i dlatego miałem dla wszystkich uczniów tej szkoły prawdziwą sympatję.

Gość zażądał przycisku do listów. Podobał mu się mały kogut, wyrobiony ze srebra. Cena była wypisana na przyklejonej karteczce, mimo to zaceniłem trochę wyżej, aby później spuścić nieco, gdyby się gość targował. Ale on się nie targował i zapłacił. Początkowo nie zwracałem uwagi na ten szczegół i dopiero później mnie to uderzyło. Odprowadziłem młodzieńca aż do drzwi i już chwytałem za klamkę, aby mu otworzyć, gdy on, zwracając się do mnie, zapytał:

— Ma pan na składzie pierścienie zaręczynowe?

— Naturalnie.

Moja żona, słysząc to, przystąpiła do gościa z miłym uśmiechem, jakim zwykle witała poważniejszych klientów.

— Tylko nie chciałbym panu robić subjekcji, gdyż ja właściwie nie mam dziś zamiaru kupować pierścienia..,

— Nic nie szkodzi, proszę tylko powiedzieć, w jakim gatunku ma być ów pierścień.

Młodzian usiadł napowrót. Rozłożyliśmy przed nim cały szereg aksamitnych pudełek, ale jemu podobał się najlepiej skromny a bardzo piękny pierścień z dwoma perłami i brylantem.

— Ile kosztuje ten pierścień?

— Trzy tysiące franków.

Wyciągnął usta z wyrazem, który miał oznaczać, że cena wydaje mu się za wielką. A jednak powiedzieliśmy mu odrazu prawdziwą cenę, wiedząc, że i tak pierścienia zaraz nie kupi. Następnie pokazaliśmy mu inne towary, ale on był wybredny, przerzucił wszystkie, a wreszcie podziękował za grzeczność i oddalił się szybko. Żona zaczęła porządkować towary, a może w pięć minut po odejściu młodego człowieka, zawołała z przerażeniem:

— Gustaw!

— Co się stało?

— Numer 3328...

Był to numer pierścienia z dwoma perłami i brylantem.

— I cóż?

— Okradzeni — jesteśmy znowu okradzeni!...

— Nie może być! — wychowanek szkoły wojskowej nie jest złodziejem.

— Ale mówię ci, że jesteśmy okradzeni!...

Zerwałem się natychmiast i rozpoczęliśmy

poszukiwania... Pierścienia nie było. Ten przyszły francuski oficer był więc złodziejem. Przerażenia i gniewu mojego nie jestem w stanie panu opisać.

— Pomimo pewności, że pierścień został skradziony, przeszukaliśmy raz jeszcze cały sklep z największą skrupulatnością — ale napróżno.

— Żona poczęła płakać, wołając: Nie pozostaje nam nic innego, jak ogłosić niewypłacalność — jesteśmy zgubieni — banda złodziei uwzięła się, aby nas przyprowadzić do ruiny.

— Ostatecznie, po długiej rozmowie, postanowiliśmy, że jutro zaraz rano pójdę do szkoły i dowiem się, czy złodziej jest rzeczywiście jej wychowankiem.

— Poszedłem... Oh, dla czego po drodze nie przejechał mnie automobil, dla czego mnie piorun nie zabił!... (D. n.)



Święto drzew.

Czy alkohol jest pożywieniem?

(Ciąg dalszy).

Na zakończenie przywiodę tu szereg zdań, wypowiedzianych z powodu doświadczeń Atwatera i Benedicta, na których oparł paradoksalne swoje poglądy p. Emil Duclaux, nieudolnie przedstawione przez p. F. R.

1. Na razie chciejmy zawierzyć rezultatom pp. A. B., że alkohol jest tak dobrem paliwem dla organizmu, jak cukier i mączka, i uznajmy je za słuszne, lecz zwróćmy tylko uwagę naszą na działalność alkoholu w stosunku do centrów nerwowych: alkohol działa na ośrodki nerwowe, kierujące czynnościami tak zwanemi fizjologicznemi w sposób przygnębiający, głównie podczas słabego działania upojenia, a także następ-

nie już po użyciu niewielkiej jego ilości. W czasie silniejszego upojenia następują zboczenia w czynnościach, więc nieprawidłowości fizjologiczne, przeważnie wydzielnicze. Następnie ośrodki nerwowe, kierujące czynnościami mięśni, bywają silnie zaatakowane, stąd niemożność utrzymania się na nogach, stąpanie nieprawidłowe, niezdolność utrzymania ciała w równowadze, drżenie rąk, bełkotanie językiem etc. Ale najpotężniejsza działalność alkoholuześrodkowuje się przeważnie w sferze ośrodków nerwowych wyższych kategorji, działalność ta paraliżuje czynność ogniw wrażliwych dróg nerwowych, zawiesza sprawność fizjologiczno-psychiczną komórek mózgu, zatrzymuje bieg ich życia normalnego, przerywa potok świadomości. Tych wszystkich objawów, dotyczących działalności alkoholu, nikt zaprzeczyć nie może, bo każdy doświadczył na sobie; a więc prosty logiczny wniosek, że, gdyby alkohol miał nawet wszystkie własności, przypisywane mu przez pp. A. i B., gdyby on jako paliwo w ciele organizmów miał to znaczenie, co cukier i mączka, gdyby zresztą i przewyższał tamte pod względem swoich przymiotów opałowych, to już tylko z racji szkodliwej działalności jego na ośrodki nerwowe, usunięty być winien z użycia i uznany za truciznę. To też żaden rozsądny fizjolog nie będzie zaliczał alkoholu do rzędu środków spożywczych, lecz go zamieści w rubryce środków szkodliwych. Inaczej wszakże mogą się na to zapatrywać chemicy, „fizjologiści“ z biologistami.

A teraz rozpatrzmy działalność alkoholu, jako źródła ciepła dla organizmu, przypuszczając wraz z autorami A. i B., że 98 proc. alkoholu, wprowadzonego do organizmu, zostało spalone i że się wytworzyła dana ilość ciepła. Zachodzi teraz pytanie, czy to ciepło idzie na korzyść istoty żyjącej, która wypiła alkohol? Otóż na to pytanie nauka odpowiada z całą stanowczością, że nie idzie mu na korzyść, albowiem wraz z wytworzeniem się ciepła powiększa się nadmiernie proces oziębiania, mianowicie wzrasta promieniowanie ciepła na zewnątrz, wcale niepotrzebne i bez żadnej korzyści dla organizmu; promieniowanie to wywołuje działalność alkoholu, który, paraliżując naczynia włoskowate całej skóry, powoduje, że te ostatnie się rozszerzają, więc krew w nie napływa zbytecznie; zamiast tedy oczekiwanego ciepła, następuje oziębienie, a cała rzekoma korzyść dla organizmu z opałowej właściwości alkoholu jest tylko twarz zaczerwieniona pijącego, jego błędne, załzawione i zaropiałe oczy, przy fioletowym nosie.

Innych stron szkodliwości alkoholu nie przytaczam, bo każdy, kto się zainteresuje tym przedmiotem, znajdzie w tysiącznych już wydawnictwach popularnych i naukowych wszystkie takie kwestje bardzo dokładnie i w sposób wyczerpujący traktowane. Mogę tu tylko ogólnikowo powiedzieć, że czy z tej, czy z owej strony rozpatrywać będziemy działalność alkoholu na fizyczną stronę organizmu, to mu przyznać musimy szkodliwość olbrzymią, bez względu na to, w jakiej formie podawany będzie do użycia. Od „niewinnych“ miodów „panieńskich“ poczynając, a kończąc na kartoflówce z fuzlem, jest on zawsze i wszędzie trucizną, bo atakuje wszystkie tkanki organizmu.

(D. n.)

Dr. B. Dybowski.

EDMUND LIBAŃSKI.

POPULARYZACJA SZTUKI.

(Ciąg dalszy.)

Pokrywanie lakiem, wytrawianie, postępuje teraz tak, jak tego wymagają obraz i przejścia tonów; czyste światła rzuca artysta, zmywając ziarno w odnośnych partjach rysunku.

Wynalazcą tej sztuki, uprawianej w nowszych czasach przez wielu mistrzów, był Jean Baptiste Leprince (1769), zachowywał ją w tajemnicy, pierwsze reprodukcje przedłożył paryskiej akademji. Po jego śmierci zakupił król ten wynalazek i polecił opublikowanie dla powszechnego

użytku. Najświetniejsze akwatinty tworzył słynny, pomysłowy rytownik hiszpański G o y a.

I wykonanie odbitki z gotowej artystycznie wykonanej płyty, wymaga zręczności i biegłości. Piękność reprodukowanego obrazu, zależy od dokładnego, subtelnego nałożenia farby i stosownego ułożenia w prasie. Gdy pewne partje odbijają się mdło, podkłada odbijacz wycinki papierowe w tych miejscach, dla lepszego wciśnięcia, gdy odbijają się za mocno, matuje je, wkładając wycięty arkusz papieru, w tych miejscach. Przy akwafortach przyrządza się sztych do druku odmiennie. Nakładając farbę „wiszerem“, można wzmocnić lub osłabić tony poszczególnych części.

Umiejętne barwienie może zakryć wadliwości wykonania i wydobyć lepsze efekty, wyraziste światła, a to za pomocą starcia farby z płyty tak lekkiego, iż pozostaje tylko słabiuchny delikatny odcień, lub ostrego aż do suchości, pozostawiającej na odbitce światło czyste.

Wszystkie wyż wymienione rodzaje artystycznych sztychów wykonane w miedzi, ulegają wskutek odbijania szybko zużyciu; zacierają się coraz bardziej delikatne prążki miedzi, zacierają linje i subtelniejsze kontrasty. Obmyślono więc sposoby powleczenia miedzi stalą (hartowania stalą), metodą galwaniczną.

Z oryginalnego miedziorytu otrzymać można nie wiele, bez zarzutu artystycznie pięknych, odbitek. Ze sztychu igiełkowego dobrych odbitek najwyżej 100, z akwatinty 200, z akwaforty 500, z sztychu rytego 1000.

Pierwsze odbitki, wykonane przez artystę samego (épreuves d'artiste), są najbardziej poszukiwane, najdroższe. Następnie rozróżniają amatorzy i znawcy serje odbitek R e m a r q u e (zazwyczaj około 100 sztuk), które reprodukuje się z kliszy przed podpisaniem jej i dedykacją. Artysta umieszcza tylko swój znaczek na brzegu (Remarque). Najstarsze sztychy nie są sygnowane, mają tylko monogram lub znak artysty; sztychy późniejsze i to od XVII. wieku, mieszczą u dołu po lewej stronie nazwisko malarza (pinxit), po prawej sztycharza (fecit, sculpsit) a często i nakładcy (excudit). Stare sztychy bywają dziś często naśladowane (fałszowane), a rozróżnienie imitacji od oryginału, wymaga artystycznego wytrawnego znawstwa i jest rzeczą długoletniej wprawy.

Postęp techniczny, wynalazek łatwej, skutecznej metody przyrządzania płyt stalowych, otworzył nowe pole dla sztuki graficznej, w wielu działach reprodukcji dano pierwszeństwo rytowaniu na s t a l i, stalorytom, siderografji (gravure sur acier).

W zasadzie wykonuje się staloryt podobnie jak miedzioryt, twardy materjał jednak musi być przedtem zmiękczony. Odbywa się to przez odwęglenie (dekarbonizację) stali, wyżarzając płytę, przeznaczoną do rytowania. Postępowanie to wynalazł Anglik H e a t h w roku 1820, od tego czasu dopiero rozwija się sztuka rytowania stali. Dla wytrawienia używać trzeba silnej dekarbonizacji, a po skończonej pracy, musi być płyta napowrót hartowaną.

Z hartowanego stalorytu, sporządza się nader często, zwłaszcza gdy chodzi o ilustracje, w różnych pismach — d o w o l n ą i l o ś ć k l i s z s t a l o w y c h. W prasie wyciska się pierwszą hartowaną płytą, formę na blasze dekarbonizowanej, a forma ta hartowana następnie, służy do wyciskania w ten sam sposób klisz stalowych, zupełnie tak wiernych, jak oryginalny staloryt. Czem stał się s t a l o r y t dla współczesnego reprodukowania rycin w pismach o ogromnym nakładzie, objaśni fakt, iż z jednej kliszy sporządza się odbitek nie na setki (jak przy miedziorytach), ale 20.000 do 25.000!

Dla dzieł sztuki, staloryt jest jednak nieodpowiedni, nigdy niema tej piękności w linjach, tej siły w kontrastach, tej wyrazistości półcieni, jakie daje sztych miedziorytowy. Jeśli reprodukcja ma być artystycznie piękną, to sztych musi być wykonany w miedzi, a dopiero z takiej płyty mogą być sporządzone klisze galwanoplastyczne, służące masowej reprodukcji — popularyzacji sztuki...

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. Stanisław Grzegorzewski. *Wspomnienia osobiste z powstania 1863 r. Lwów, 1903.* — Z pomiędzy licznych pamiętników o ostatniem naszem powstaniu, książka ta, spuścizna po zmarłym — prawie w samą czterdziestą rocznicę walki — podoficerze pułku żuawów Rochebrune'a, odznacza się przedewszystkiem wielką szczerością i zupełnym brakiem zbyt powszechnego między pamiętnikarzami samochwalstwa. Mamy zupełnie prawdopodobny obraz tej młodzieży, która szła wówczas „z kijami na bagnety“, niebaczna na rozum stanu i na nieprawdopodobieństwo, nie chcąca wiedzieć o przewadze wroga ani o kombinacjach wielkich polityków, których — niestety! — nigdy nam nie brakowało. To też opis dziesięciodniowej dyktatorskiej kampanji Langiewicza czyta się z wielkiem zajęciem, tem bardziej, że autor, acz z wielkiem umiarkowaniem, nie skrywa bynajmniej ogromnych błędów samozwańczego dowódcy i ubolewa nad jego haniebną ucieczką po zwycięstwie i nad powstałą z tego powodu w całym jego oddziale demoralizacją, nie chcąc wiedzieć, a może i nie wiedząc, jakie były czysto stańczykowskie powody takiego smutnego, iście tragikomicznego rozwiązania. Czuje tylko, że „ten piękny zawiązek armji polskiej został haniebnie zmarnowany“, ale widać, że i wówczas nadziei nie stracił, gotując się do nowych bojów, że z taką samą nadzieją złożył czterdzieści lat później głowę do grobu.

Jeszcze bardniej pouczający jest dalszy opis przebywania autora w niewoli austrjackiej, z której ratował się ucieczką, a później, w tak zwanych oddziałach szachujących, czyli galicyjskich powstańczych kadrach. Samo to opowiadanie przekonywa najzupełniej czytelnika, że autorowi wcale nie szło o własną chwałę, bo trudno sobie wyobrazić bardziej upokarzającą rolę, niż tę, którą on odegrał z tysiącami podobnych jemu ochotników, ciągle mamiony przez sławetny lwowski komitet nadzieją prędkiego wymarszu, aż po kilku miesiącach, uniknąwszy cudem nieustających austrjackich rewizji, poszedł z Komorowskim marznąć w lasach, by się doczekać — Poryckiej rejterady. Tak wówczas marnowano u nas zapał i krew młodzieży naszej, ofiarne grosze polskiego społeczeństwa, byle tylko broń Boże do prawdziwego, ludowego powstania nie doszło. Wieczne to dzieje naszych powstań i autor z całą prostotą nam opowiada, jak się ta komedja organizacyjna odbywa. Mamy przynajmniej dla pociechy ciepłe wspomnienia o niezłomnych ówczesnych zapaleńcach, z którymi można było — ale nie chciano — cudów dokazywać, np. o Filipie Kahanym i o Władysławie Zwierkowskim, którzy, straciwszy każdy rękę pod Langiewiczem, znaleźli się po kilku miesiącach jako walczący kalecy w nowym powstańczym oddziale. Takich miano żołnierzy i z takimi kazano nam „z wyższych politycznych względów“ tył podać przed wrogiem.

Książkę zdobią autentyczne portrety powstańców i bardzo starannie wykonane plany Langiewiczowskich marszów i potyczek, daleko prawdopodobniejsze od tych, które wydał np. szef sztabu nieszczęsnego dyktatora. W każdym razie wspomnienia ś. p. Grzegorzewskiego są cennym przyczynkiem do dziejów powstania 1863 roku i o wiele przewyższają prawdziwością i szczerym zapałem pamiętniki najrozmaitszych generałów, półkowników i szefów sztabu. Oprócz tego autor kończy swoje wspomnienia starannym krytycznym poglądem na prawie wszystko to, co się o tym samym przedmiocie pisało i tem nas jeszcze bardziej przekonywa o swojej bezinteresowności i prawdomowności.

NOTATKI. *Rusin o Zakopanem.* W jednym z ostatnich numerów wychodzącego we Lwowie miesięcznika *Literaturno-naukowy Wistnyk*, pomieszcza prof. Włodzimierz Szuchiewicz, autor „Huculszczyzny“, bardzo ciekawy opis Zakopanego, jego mieszkańców i stylu. Zwłaszcza o przystosowaniu zabytków skromnego zdobnictwa i budownictwa ludowego do stylu prawdziwie artystycznego wyraża się prof. Szuchiewicz z największem uznaniem i podziwem. Opisując kaplicę, ufundowaną przez Gnatowskiego w zakopiańskim kościele, tak powiada autor: „Wszedłszy do wnętrza tej kaplicy, spostrzegamy wrota ze strzechą! Przyjrzawszy się im bliżej, widzimy, że w górnej części trójkąta, gdzie łączy się strzecha, promienieje „słońce“, typowa ozdoba każdej zakopiańskiej chaty, a które stanowi również upiększenie niemal każdego przyczółka naszych huculskich chat. Pod podstawą tego trójkąta widać postacie 4 ewangielistów; poniżej spada strzecha ponad ołtarzowy obraz, ujęty w ramy, wyobrażające odrzwia zakopiańskiej chaty z charakterystycznemi wystającemi kołkami. Na ołtarzu stoi szafka z gzymsem o motywach łyżnika, stanowiąca cyborium; drzwiczki do niej są to maleńkie odrzwia zakopiańskiej chaty ze „słońcem“. Na prawo i na lewo cyborium stoją lichtarze, podstawę których tworzy odwrócony dnem do góry czerpak z czterema — zamiast jednym — uchami; są to nogi lichtarza. W podstawie tej osadzony jest pazdór, zakończony lelują, taki, jakim ozdobiony jest niemal każdy dom zakopiański. Podobną rzeźbą ozdobione są ławki, konfesjonał i t. d. A polichromja ścian kaplicy? Tu wyzyskano jedyną w swoim rodzaju zakopiańską ornamentykę. Barwne wyszycia spodni góralskich! Do upiększenia ołtarza posłużyły z motywów ludowych głównie rzeźby kwiatów tatrzańskich, jak oset, złotogłów

Cała kaplica wskazuje, jak można ludowe motywy rozwinąć w narodowy styl artystyczny i do jak wysokiego dojść można stopnia artyzmu w wykonaniu tak wielkiego dzieła, jak ołtarz, pojęty artystycznie, a w pomysłach nowy, oryginalny, jędrny“.

Pomyłka druku. W wierszu p. Z. Poznańskiej, umieszczonym w 17. numerze „Tygodnia“, wydrukowano — zamiast stuechowy — strzechowy.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.